

Łusnia Weronika
 r. ur. 1924 w Konkolówce pow. Bieszczów
 z rodziców Ewy i Konstantego Łowa - rolnik

Od r. 1928. mieszkaliśmy na podolu w Koloni Jarosław
 pow. Lborów woj. Tarnopol. Tutaj rodzice byli właścicielami 10-a
 morgowego pola.

Moje wspomnienia z lat bardzo bolesnych.

W dniu 10.02.1940r. wczesnym rankiem Leo jeszcze nocnym
 zapukano bardzo, katolicyznie do naszego domu z rozkazującym
 krzykiem „otwieraj”. Po otwarciu drzwi przez taką masę cwoch ludzi
 trzech mężczyzn: dwóch ukraińców jeden w mundurze NKWD.
 rosyjanin i kobieta ukraińska. Ukraińska natychmiast
 dokonała rewizji Łaty i brata Józefa. Wszyscy zewraliśmy się
 ze smu bardzo wystraszeni niewiedząc co się dzieje; pomyślano
 teraz nas zabijają. Rosyjanin w mundurze wyczytał rozkaz
 „natychmiast ubierajcie się za pół godz. musicie opuścić dom”.
 Co więcej powiedział niepamiętam. Dwie furmanki sanne
 były już podstawione pod dom - dwie z uwagi na dużą
 trzyosobową rodzinę jedenasto rodzinną i rodzeństwa
 i rodziców. W takim naloce ataku mąż stawał się otypiaty
 a ekipa która przybyła, pilnowała żeby nikogo, nie zarwiek
 zabrać ze sobą. Rodzice starali się żeby chociaż żywności

Tak p. Weronika Łusnia rozpoczęła opisywać swoje przeżycia i wspomnienia...

WERONIKA LUŚNIA

/SYBERIA – MOJE WSPOMNIENIA/

Luśnia Weronika. Ur. 24.08.1924r. w Konkolówce pow. Rzeszów, z rodziców EWY i Konstantego SOWY – rolnik.

Od r. 1928 mieszkaliśmy na Podolu w Kolonii Jarczow, pow. Zborów, woj. Tarnopolskie. Tutaj rodzice byli właścicielami 10-cio morgowego pola.

W dn. 10.02.1940r. wczesnym rankiem /w nocy/ zapukano do drzwi z krzykiem „otwieraj”. Po otwarciu przez tatę drzwi weszło 4 osoby: trzech mężczyzn: dwóch ukraińców, jeden w mundurze NKWD, Rosjanin i kobieta /Ukrainka/. Enkawudzista dokonał rewizji taty i brata Józefa. Wszyscy wstaliśmy, wystraszeni – niewiedząc co się dzieje. Pomyslałem, że nas pozabijają. Rosjanin w mundurze przeczytał rozkaz: „Natychmiast ubierajcie się. Za pół godziny, musicie opuścić dom”. Dwie furmanki stały pod domem – z uwagi na naszą dużą, trzynastoosobową rodzinę /Jedenaścioro rodzeństwa i rodzice/.

W takim nalocie – mózg stawał się otępiały – a ekipa, która przybyła, pilnowała, żeby niewiele mogliśmy z sobą zabrać. Rodzice starali się zabrać chociaż trochę żywności, ale i tak niewiele pozwolono. Ukrainka penetrowała dom i zabierała wiele rzeczy dla siebie. Nawet zabrała mamie trzy sznury koralików – prawdziwych, i włożyła za ubranie. Dwaj Ukraińcy pomagali ubierać dzieci, aby jak najszybciej wyprowadzić z domu. Zima tego roku była ostra – ponad minus 20 st. C. W tym dniu było wierznie i padał śnieg. Opuszczaliśmy nasz dom. Pies Dunaj wył i żegnał nas ze smutkiem... Wieziono nas na furmankach 10 km na stację kolejową w m. Jezierna. Jechał z nami żołnierz NKWD, gdyż był odpowiedzialny za załadowanie nas do wagonu. Myślałem, że był złym człowiekiem – wykonywał rozkaz. W czasie jazdy okrywał nas, czym tylko było na saniach, żebyśmy nie zmarzli, a nawet na prośbę taty pozwolił nam, ogrzać się w domu przyjaciela taty w Jeziernej – nazywał się: Winiarski. Ile tam godzin byliśmy nie pamiętam, ale zaufała tacie zostawiając nas samych. Sam poszedł zbadać sytuację przy transporcie, gdyż tam była duża kolejka, ze względu na dużą ilość rodzin wywożonych. Był wielki ścisk. Żołnierz wrócił po nas po zmroku. Wciśnięto nas do zatłoczonego wagonu bydłecenego – tuż przy drzwiach i zaryglowano. My siedzieliśmy na naszych tobołkach lub staliśmy. Za ile godzin odjechalismy nie pamiętam. Skład był b. długi. Na drugi dzień, od kogoś z wygnańców dowiedzieliśmy się, że ktoś koło składu pociągu wołał: Sowa, Sowa... i chciał podać żywność. Odnaleźć nas było trudno, ze względu na długi skład i zaryglowane drzwi. Ze względu, że byliśmy załadowani do wagonu ostatni, nie było miejsca na rozluźnienie się. Naprzeciwko nas, po drugiej stronie wagonu była dziura w podłodze dla potrzeb fizjologicznych, tak, że gdy ktoś chciał się załatwić, to był kocem lub prześcieradłem zasłaniany.

Ktoś w pociągu zarządził, żeby zrobić trochę miejsca więcej dla naszej rodziny. W wagonie były prycze – gołe deski – i dwa małe okienka z każdej strony wagonu. Po drodze w którymś dniu jazdy, odryglowano drzwi i pod strażą wypuszczono mężczyzn po kipiącą wodę z wiadrami, a był to niewielki przydział. Tej wody pić się nie chciało. Jedyny ratunek pragnienia było lizanie oszronionych gwoździ, śrub, itp. w wagonie. Czasami dawano nam kaszę jaglaną – gęsta zupę. Chleba nie dawano. Nikt się nie mył, no bo jak i w czym.

Nie było prania, to robactwo nas obsiadło. Jechalismy w nieznane, przemarzalismy w wagonach, gdyż nie były ogrzewane. Ludzie umierali. Dzieci się rodziły. Słyszę jak dziś, zabierano z wagonu matkę do porodu, a może już urodziła, było to w drugim końcu wagonu. Krzyk kogoś z rodzin: „żeby chociaż poduszkę wzięli”. Pewnego dnia ktoś, przez okienko zauważył gdzie jesteśmy. Dość głośno powiedział: „o góru uralskie”.

W 18 dniu jechania znaleźliśmy się na Uralu w mołotowskiej obłaści. Tutaj nas rozładowno z transportu i załadowano na samochody pod plandeką /z obu stron bocznych i od kabiny kierowcy. Od strony wsiadania nie było. Była otwarta. Jechalismy cały dzień. Nie trudno sobie wyobrazić, jak w syberyjskim mrozie – przemarzliśmy. Mama tuląc małe dzieci, a każde z nas chciało być blisko mamy... kierowca ulitował się i wziął mamę z niespełna półtorarocznym dzieckiem Karolkiem do kabiny. Piotruś też, małe dziecko płakał – chciał do mamy. Kierowca wziął i Piotrusia. A my wszyscy musieliśmy, jak bydłeta w tym siarczystym mrozie jechać, w takich samochodach.

Z tych samochodów rozładowano nas zdaje się w miescie Kudymkar do jakichś dużych pomieszczeń. Tu było oczekiwanie na dalszą podróż. Ten ogromny transport ludzi, był rozwożony samochodami i saniami e różne miejscowości, do leśnych baraków na Sybirze. No i właśnie podjeżdżała sanie – furmanki, ładowano nas i znowu jechalismy cały dzień w nieznane. Gubiły się rodziny. Nie docierały w komplecie. Brakowało dzieci w rodzinach. Nam udało się dojechać na miejsce przeznaczenia, nikogo nie brakowało. Rodzice tego bardzo pilnowali. Nasza rodzina musiała jechać na kilku saniach, gdyż kołchoźnicy mają małe sanie.

Po drodze jak jechalismy, Rosjanie spoglądali, jak gdyby z ubolewaniem w naszej niedoli. Mówili „ to polskie pany”, a kobiety popłakiwały, wiedziały, że jesteśmy zesłańcami, wyganianymi z własnych domów. Jechanie saniami było uciążliwe. Śnieg, wyboiste drogi...wreszcie znaleźliśmy się w lesie – głębokim nie kończącym się lesie - przy baraku. W baraku tym było trzy pomieszczenia – czyli sale. Jedną salę zajmowali kołchoźnicy – mężczyźni i kobiety. Byli na sezonowej pracy przy wyrębie lasu. Obok baraku był mały budynek – łąźnia i miejsce do tępienia robactwa – wszy. Jeszcze niewielka buda, gdzie dostarczano i rozdzielano przydział chleba.

W baraku ulokowano nas, rodzina przy rodzinie – bardzo ciasno, na pryczach – gołe deski – między pryczami wąskie przejścia, tak, że jeden przechodził przy pryczy, drugi musiał czekać. Na środku Sali był piec podłużny, żelazny, który służył do ogrzewania baraku, gotowania wody z rzeki na herbatę z patyków malin. Gotowanie jakiegoś posiłku nie było z czego. No i tu przy tym piecu było suszenie onuc przemokniętych przy pracy w lesie.

Głód doskwierczał. Zaraz, na drugi dzień było sprawdzian przez komendanta obecności – z bacznyim okiem, czy wszystko w porządku. I tak, przez dłuższy czas byliśmy pilnowani.

Zaraz, po podróży wysłano nas do pracy w lesie. Dziś, gdy wspomnę o syberyjskich lasach, to czuję ten zapach żywicy, nawet ten dym palonych gałęzi z czystki lasów – był pachnący. W niektórych częściach lasów – są – nie mówiąc o grzybach, ale i te polany poziomek, malin – można było się trochę wzmocnić latem – tym wspaniałym owocem. Powietrze, którym oddychaliśmy było uzupełnieniem do małego przydziału chleba. Żuliśmy też i żywicę, tak jak tu w Polsce gumę do żucia. Rosjanki nas tego nauczyły, z tym, że nie każda

nadawała się rozrzuć na gumę, a to co się wyrzuło z żywicy – było same zdrowe.

Tu wysyłano nas do pracy w lesie: mężczyźni ścinali drzewa, słabsi pracowali przy oczystce lasu. Ja z moim tatą pracowałem na oczystce lasu, lecz nie była to lekka praca, jak na młode, głodne dziewczę. Gałęzie były duże, ciężkie, ściągano na kupę /stos/ i palono. Tą pracę wykonywano tylko w zimie. Pracowałam na różnych robotach. Ścięte drzewa zwożono nad rzekę, do spływu na wiosnę. W Rosji, z tych pięknych lasów transportowano jest na cały kraj rzekami, a mają ich dość dużo i pięknych, Nim drewno stoczono na rzekę, musiało być okorowane. Ja pracowałem właśnie to wykonywałam. Nie była to praca lekka. Narzędziem którym zdejmowało się korę, trzeba było użyć siły, a kłody trzeba było obracać, ażeby dobrze oczyścić z kory. Do spławu drewna były potrzebne wiązadła, które przygotowywało się – jeśli dobrze pamiętam z wierzbowych gałązek. Gałązki te były długie. Aby je uelastycznić, na pewnym pokrętle kręciło się. Wykonywałam taką pracę, która była ciężka i ręce bolały.

Na wiosnę, kiedy lody topnieją, lodołamacze łamały lód, kra odpływała i przychodziła pora na spław drewna, nagromadzonego nad brzegiem rzeki. Mężczyźni puszczali kłody na rzekę, wiązali tymi wiązadłami, które właśnie były przygotowywane z gałązek i tak sobie pięknie płynęły wielkimi rwącymi rzekami. Jesteśmy w wielkiej nędzy, głodzie i chłodzie. Tej pierwszej zimy już dało się nam Polakom we znaki, gdyż ludzie chorowali i umierali. Tata mój zachorował, spuchł, znalazł się w szpitalu. Brat Stefan 18 letni też był w szpitalu. Siostra Bronia – jako najstarsza z rodzeństwa, zachorowała na zapalenie płuc, a leczenie prawie żadnego nie było. Brat Karol niespełna 1,5 roczne dziecko ciężko chore, całe ciało pokryte wrzodami, czyli jedna rana.

Przed następną zimą, przesiedlono nas do Kirianowa, w rejonie Kudymkarskim. W tym Kirianowie, Polacy zbudowali duży barak z długim korytarzem, a po jego bokach – izby. Barak ten był zbudowany dla nas Polaków. Ponieważ jeszcze nie był gotowy do zamieszkania, umieszczono nas w jakimś prowizorycznym-przejściowym do czasu wykończenia baraku.

Wreszcie, wydostaliśmy się z tego starego, zapluskowanego baraku. Tu wspomnę, że na domiar wielkiej nędzy, i głodu, i chłodu – pluskwy z nas piły krew, a z ogromnej wszawicy nie było sposobu ogarnąć się na to nie było rady. Barak był bardzo zacieśniony rodzinami.

Zima nieubłaganie zbliżała się, na szczęście budowa baraku zbliżała się ku końcowi. Była nadzieja na lepsze zamieszkanie.

Pewnego dnia do tego przejściowego baraku, przyszła do naszej rodziny rosyjska kobieta, która była szefową stołówki. W zawiniątku, jak gdyby w fartuszkach przyniosła trochę chleba. Mama była słaba i chora. Leżała w łóżku. Kobieta ta chleb ten położyła przed mamą na pościeli, aby rozdała dzieciom. Mama dzieląc chleb między nas wszystkich, starała się dać każdemu, chociaż po małym kawałku – sobie nie zostawiają ani kawałka. Kobieta ta stała przy nas, patrzyła jak mama dzieliła nas tymi ułomkami, zapłakała. Tak sobie niejednokrotnie myślałem i po dzień dzisiejszy myślę, skąd mogła zaoszczędzić chleb, kiedy wszystko było na przydział.

Wreszcie przed zimą wprowadziliśmy się do nowego baraku. Brat Józef był też budowniczym tego baraku. Jak wyżej wspomniałem bydowali go Polacy. Barak ten bardzo różnił się od tych, które były budowane przez Rosjan. W ich zwyczaju w baraku były duże sale, pracowników: kobiety i mężczyzn zakwaterowywano razem, tak jak to widzieliśmy, kiedy nas przywieźli na Sybir.

Jedna sala była pełna kobiet i mężczyzn. Trzeba tu powiedzieć, że Polacy budowali po swojemu, a żeby można było godniej zamieszkać. Barak był długi, z długim korytarzem, a po bokach korytarza izby /większe i mniejsze/. My, jako ta większa rodzina dostaliśmy swoją izbę, to też była szansa ogarnąć się ze wszy. Niedługo tata, postarał się sprowadzić rodzinę z jakiegoś lesnego baraku i mieszkaliśmy razem. Była to rodzina zamieszkująca w Polsce, w kolonii Jarczowce pod Zborowem, o nazwisku Zamora – rodzina 7-mio osobowa. Zamora był chrzestnym mojego najmłodszego brata Karola. Zamora w tym baraku wkrótce umarł. Żona została z gromadką dzieci.

Tu w Kirianowie pracowało się różnie. Zbieraliśmy mech w lesie, był potrzebny do budowy domów-baraków. Budowa była z belek, a pomiędzy nimi uszczelniano mchem. Było kilka świń, którym daleko pod las, nosiłam jedzenie – zlewki ze stołówek i obierki z ziemniaków. Ale, nim z tego wiadra wylałam świniom, ręką łowiłam, szukałam w tych pomyjach pożywienia dla siebie, ze świadomością, że w tych pomyjach znajduje się coś bardzo obrzydliwego, o czym tu już nie wspomnę. Wiadomo, że tymi pomyjamikarmione świnie nie rosły, nie tuczyły się. Były ciągle głodne, jak i ja. Była to dla mnie ciężka i trudna praca. Świnie usłyszawszy otwieranie drzwi do chlewika, robiły wielką wojnę z głodu. Szybko wlewałam do koryta, żeby nie rozerwały zagrody. Muszę tu wspomnieć jaka tu miałam litość nad głodnymi świniami. Otrzymywałam od kierownika piekarni otręby dla świń, lecz nie w takiej ilości, w jakiej był przydział, o czym nie wiedziałam. Brak jedzenia dla świń powodowało, że zawsze były głodne.

Pewnego razu kierownik ten – nazywał się Trusznikow – podał mi listą z ileś tam pozycjami – mogło być ok. 10 do podpisania, że jako tyle karmy /otręby/ otrzymałam dla świń. Powiedziałam Trusznikowi, że nie podpiszę, gdyż tego nie otrzymałam. Ten nalegał do podpisu i zastrzegł, że jeśli nie podpiszę tych pozycji, nie wyda mi otręby dla świń. Pomyslałam: czym nakarmię świnie ... podpisałam wszystkie pozycje, ile ich było. Nie zakończyło się na tym. Kierownik miał duże manko, kontrola, śledztwo... wezwano mnie na zeznanie. Obecny był na moim zeznaniu Trusznikow. Śledczy pokazał mi listę z moim podpisem i zapytał: „czy otrzymałam tyli otręb dla świń”. Odpowiedziałam, że nie, ale podpisałam, gdyż bałam się, że nie wyda mi więcej i czym nakarmiłabym świnie. Kierownik Trusznikow słysząc moją wypowiedź, powiedział: „eto choroszaja barysznia” – to dobra dziewczyna.

Trusznikow pewnie poszedł do więzienia i nie mniej dostał, jak 10 lat. Lecz nie przeze mnie, na pewno nie. Nie chodziło o te otręby. To był dodatek, ale jako kierownik zaopatrzenia i sprzedawca w sklepiku, niewiadomo ile i co nakradł. Kiedy mnie śledczy zapytał, czy otrzymałam to co lista wykazuje, bez zastanowienia, szczerze i otwarcie odpowiedziałam: nie otrzymałam. Nigdy nie kłamałam, nie umiałam kręcić.

Od tego wydarzenia, jak to mogło się stać, że nie trafiłam do więzienia, byłam współwinna tej kradzieży, może nie to, że winna, ale byłam wmieszana w to kręactwo.

W Związku stalinowskim w Rosji winny - niewinny do łagru, do więzienia i nie zawsze wiedział za co. Bez sądu, bez obrony, a wymiar kary, to już nie mniej niż 10 lat i sprawa załatwiona.

Ucieszyłam się, że świnie zabrano na ubój. Moje noszenie, dźwiganie ciężkich wiader z kilometr pod las – zakończyło się. Następna praca nie mniej ciężka. Kilka dziewcząt polskich z tego baraku, w którym mieszkaliśmy i jeden

meżczyzna /ojciec jednej z dziewcząt/ nazywał się Porada – mieszkaniec z Polski z Kolonii Jarczowiec, skąd i my – sołtys - chodziliśmy daleko do lasu brzozowego – daleko nie mniej niż 5 km. Każda z nas niosła ze sobą piłkę i siekierę, a p. Porada był niejako ochroną, nad naszą niebezpieczną pracą.

Siekierą podcinało się drzewo, a piłką odcinało się od pnia. Trzeba było najpierw obadać, w którą stronę spuścić ścięte drzewo, żeby nie zawiesiło się na obok stojących drzewach. Następnie operacja ściętego drzewa – dość grubego, przecinało się piłką na kawałki i przenosiło się na miejsce dalszej operacji, rżnięcie na krążki o grubości mniej więcej 10 cm. Aby można było piłować krążki, trzeba było przygotować tak zwane sznagi tzn. wbić w ziemię 4 kołki i z góry skrzyżowane, na którym kładło się te kawałki drewna i rżnęło się na krazki, a potem na pniu i rąbało się na kostkę. Czynności te, każda z nas wykonywała samodzielnie.

Tą kostkę brzozową, nazywano pieszki – służyła ona do pojazdów na lodowej drodze – chyba zamiast benzyny – jako paliwo. Pojazd miał kocioł do którego sypano tą kostkę i spalano.

Pojazdy te jeździły po lodowej drodze, którymi zwożono /drzewo z leśnej drogi, która miała koleinę lodową, która codziennie musiała być obmiotana ze śniegu. Siostra Bronia wykonywała tą czynność. Głód, chłód, zima, aż ściany baraku trzaskały. Mróz sięgał – 45 st.C. Rzęsy powiek przymarzały. Walczyliśmy ze skrajną nędzą. Siostra Bronia nabyła się zstmy i tak do końca życia męczyła się nią, no bo cóż, głód, choroby wcale nie leczone, doprowadzały do wyniszczenia.

Tata i my rodzeństwo wszyscy powyżej 13 lat pracowaliśmy. Dla pracujących był większy przydział chleba – 60 deko. Dla niepracujących – 40 deko. Z czasem zmniejszono nam ilość chleba – mówili nam, że „nada” na front - trzeba dla wojska.

Tata pracował bardzo ciężko – rżnął desko ręczną piłą na wysokim /podiumie/ rusztowaniu. Wysoko, na tym rusztowaniu dwóch kładli grubą belkę i tak we dwóch, tata na górze. Ten drugi nazywał się Sikorski – na dole i w ten sposób tata ciągnął piłę do góry, a Sikorski na dół, to była niesamowicie ciężka praca, szczególnie niedożywionego człowieka.

Nadeszły wieści, że generał Anders formuje polską armię. Taka wiadomość była dla nas Polaków pocieszająca, z myślą, że może uda się nam wydostać z tego nieludzkiego życia? Czyli pojawiła się jakaś oswiła. No cóż nędza, głód, chłód doprowadziła do chorób i śmierci. Niemalże, nie było rodziny, żeby ktoś nie odszedł na zawsze, do wieczności. Mój brat Stefan 18 lat zachorował. Cierpiał na niewyobrażalny ból głowy, został odwieziony do szpitala, do miasta rejonowego Jurło, tam wkrótce umiera.

Brat Józef i tylko on pojechał saniami pochować zmarłego brata Stefana – nie było możliwości żeby nas więcej uczestniczyło w pogrzebie. Brat Józef postanowił dołączyć do armii gen. Andersa – czuł powinność walki o Ojczyznę. Pożegnał nas na obczyźnie. Wyjeżdżały całe rodziny, ale te nieduże i nie z małymi dziećmi – takich rodzin, które odważyły się na taką ciężką poniewierkę było nie wiele. Wyjazd całej naszej rodziny był niemożliwy, ciężko byłoby przeżyć.

Gen. Anders wszystkich Polaków przyjmował – kobiety, dzieci – starał się wszystkimi zaopiekować się, dać warunki do przeżycia, a losy były ich różne.

Tata nasz ciężko pracował, zabiegał w różny sposób, o przeżycie rodziny. Zostaliśmy nieco smutni. Brat Stefan odszedł do Wieczności, brat Józef do

armii gen. Andersa, a my myśleliśmy co dalej. Pojawiła się dla nas pocieszająca wieść. Zezwolono opuścić miejsce w lesie. Pomyśleliśmy ... trzeba szukać miejsca, gdzie będzie łatwiej o chleb. Siostra Bronia, brat Andrzej i ja z nimi wzięliśmy na sanki ubogi dobytek i wyruszyliśmy z baraku Kirianowie do miasta Kudymkar. Tam spotkaliśmy wielu Polaków¹), którzy również przybyli w poszukiwaniu chleba. Tu gromadzono przybyłych w jakimś roboczym baraku, skąd rozwożono kołchoźnymi furmankami do pracy w kołchozach. Ja z tymi sankami wróciłam do Kirianowa, czy do rodziny, ażeby znowu cokolwiek jeszcze na tych sankach przywieźć Broni i Andrzejowi do Kudymkaru.

Ja, wróciłam do domu, a Bronia z Andrzejem zgłosili się do kołchozu w obwodzie kudymskim, sielsowiet Wierchjuśwa, kołchoz Pania. W kołchozie tym rozpoczęli pracę. W kołchozie nie dawali chleba na kartki, lecz mąkę – w miarę możliwości - na ile kołchoz było stać. Tu było też biednie, przydział mąki był mały. Bronia i Andrzej żyli oszczędnie, ażeby przygotować chociaż trochę chleba dla rodziny, która została w Kurianowie. Było lato! Postanowili upiec chleb z zaoszczędzonej mąki. Zamieszkali w domku kołchoźnika, który miał w jednym podwórku dwa domy. Jeden dał nam do zamieszkania. W każdym domu na wsi, jest piec piekarski, w którym się piecze, gotuje, a na piecu i polaci śpi. Gdy już trochę przygotowali chleba, brat Andrzej z kołchozu przyjechał po naszą rodzinę, tu rozpoczęliśmy pracę nie w lesie, lecz w kołchozie na roli. W zimie przy omłotach. Jednakże głód nie mniejszy, niż tam w lesie. Kołchoz biedny, nie było czym dzielić, lecz trochę łżej, bo pracowaliśmy przy chlebie, w ukryciu w kieszeni przyniosłam ziarno lub ziemniaka, czy też grocgu.

Brat Antoś i Juluś w zimie chodzili od wioski do wioski – prosili o chleb. Ci w wioskach, nie wiele mogli wspomóc biednych, oni sami byli głodni. Bracia co uzbierali, sami zaraz by zjedli, były to drobne ułamki chleba, a ten chleb, to nie z samej czystej mąki. Do ciasta dodawano wiele roślinności, aby uzyskać więcej ciasta do wypieku chleba. Taki chleb nie z samej mąki, nazywano surogat. Chleb był ciemny i jak kawał grudy. W nim było wszystko, co w naturze latem urosło i nadawało się do jedzenia. Wspominam po dzień dzisiejszy, tę wędrowkę moich braci Antosia i Julusia, jak ona była ciężka, chodzili w zimie, mróz, śnieg, zasy i jeszcze jakiś tobołek uwieszony na plecach człowieka wycięzonego z głodu... brakowało sił. Po powrocie opowiadali o swoich przygodach, swojej wędrowce. Trzeba było nieraz mocować się w pokonywaniu drogi na kolanach w zaspach śnieżnych. Przynosili co uzbierali, za jednym przysiadem nie było co jeść. Ludność rosyjska jest dobra, litościwa gościnną. Potrafią podzielić się kawałkiem chleba, chociaż sami żyją w niedostatku. Zdażało mi się nieraz iść gdzieś daleko, a ponieważ zabrakło mnie dnia, nikt w rosyjskim domu nie odmówił mnie noclegu i ze szczerego sera kawałkiem chleba podzielono się.

W kołchozie tym, nadeszła dla nas pierwsza wiosna, pokazała się roślinność. Rosjanki wiedziały, co można znaleźć i zjeść jak sałatę. Jedliśmy tak zwane piściki – było to coś jak dzika szparaga. Im młodsza tym lepsza, miękka po ugotowaniu. Jak się zestarzała była twarda, łykowata, nie nadawała się do jedzenia. Ten sezon szybko mijał. Nastąpiło sadzenie ziemniaków. Tu już można było ratować przeżycie głodowe – surowe na polu przy sadzeniu jedliśmy. Ziemniaki przeziębnięte lecz niezmarznęte stawały się słodkie. Jednak nie każdy ziemniak nadawał się do przełknięcia i był niesmaczny.

Rosjanki nas wszystkiego uczyły. Jadłam te surowe ziemniaki. Widzę jak dziś pana profesora Teselskiego – Polaka wywiezionego jak i nas. Stał przy wozie i jadł te ziemniaki. W tym strasznym głodzie, chłodzie żaden pies, ani kot nie miał szans życia. Ludzie sprzątnęliby.

Pracowałam przy sianokosach. Było to gdzieś daleko od domu, gdyż pewien czas, byłem poza domem. Było nas tam kilka Polek. Zakwaterowano nas pod gołym niebem w lesie. Spałyśmy na ziemi. Pewnej nocy przestraszyłyśmy się, spadała z nieba dość duża świetlista gwiazda, wydawało się nam, że na nas spadnie.

Miałyśmy jakiś suchy prowiant – kaszę gotowaliśmy w kociołku nad paleniskiem na ziemi. I tak przez jakiś okres czasu chodziliśmy i to dość daleko – teren ten był pełen moczarów – każda z grabiami przewracać, suszyć i składać w kopki siano. Głód doskwierał nie było co jeść. Pewnego dnia gdzie pracowałam przy sianie. Zauważyłem uprawne pola – rosła tam rzepa. Pomyślałam: żeby nikt nie zauważył, urwę - pożywię się. A żeby przeżyć, trzeba było na różny sposób, sobie zarazić.

Z sianokosów wróciłam do Panii, do rodziny. Tu zbyt długomnie zagrzałem miejsca. Zbliżała się jesień. Latem zawsze i wszędzie lepiej. Nagle otrzymałem rozkaz na wyjazd do Mołotowa, na budowę linii kolejowej. Zapłakana dziewczyna pojechała w nieznane. Dwie doby w podróży, furmanką do pociągu z ludźmi ewakuowanymi z Moskwy i frontu wojennego – front wycofał się, powracali do swoich domów. Mnie dołączono do nich na stacji kolejowej, skąd miałam odjechać do Mołotowa, na budowę linii kolejowej. Po drodze tej podróży furmanką, znowu wypoczynek, spanie pod gołym niebem. Nareszcie dotarliśmy do stacji, z której miałam odjechać do miasta Mołotowa. Na stacji tej było bardzo dużo ludzi, siedzieli na swoich tobołkach. Zaraz poinformowałam się o której godzinie będę miała pociąg, a więc i ja usiadłam na podłodze, na swoim tobołku. Ponieważ miałam sporo czasu na odjazd pociągu, w moim kierunku. Nagle o czym niewiedziałam, że z tej stacji będę miała konwojenta, z czego ucieszyłam się. Odezwał się człowiek-Rosjanin. Wyczytał listę osób, które powinni być na tej stacji, no i moje nazwisko padło. Powiedział, że nas wszystkich zabiera do Mołotowa, do zakwaterowania. Mnie przydzielono do prywatnego domu. W domu tym było czysto, schludnie. Pani domu miła, spałam na podłodze, a było nas trzy. Rozpoczęła się nowa praca, jaka sobie w życiu nie wyobrażałam. Wyżywienie: chleb na kartki 0 60 deko, jak wszędzie i jeden raz dziennie głodna zupa – tutaj trzeba przyznać, że było lepiej, bo zupa była do przydziału chleba. Podczas, gdzie indziej zupy nie dawano. Był tylko chleb i to wszystko. Praca na linii kolejowej nie dla dziewczęca, lecz dla silnych mężczyzn. Dźwiganie belek, układanie na linii kolejowej na których układano szyny. Wiemy na czym leżą szyny. A żeby szyna nie trzęsła się na tych poprzecznych belkach, uszczelniało się ją od spodu drobnymi kamieniami, za pomocą ubijacza ręcznego. Przy takim ubijaniu wydawało się, że trzęsienie mózgu dostanie się.

Brygadystą był nad nami dobrym człowiekiem. Nie był naganiaczem, no ale pracować trzeba było. Głód bardzo dokuczał.

Pewnego razu zauważyłam, jak jakiś, chyba arab – miał ten turban na głowie – głodu nie mógł ścierpieć, dopadł na wolnym powietrzu kocioł z zupą dla pracowników. Nabrał chochlą – czerpakiem i szybko zwinnie, pożywił się z tej chochli.

Tu przy tej pracy nieubłagane uciekało lato. Robiło się zimno. Na domiar ciężkiej pracy o głodzie, nie miałam ciepłej odzieży, ni obuwia. Nogi bardzo przemarały. Ogrzewałam je parą podjeżdżającą lokomotywy. Nyślałam co mam robić, żeby się stąd wydostać, wrócić do rodziny, ale jak? Postanowiłam napisać list do rodziców, prosząc mamę o zaświadczenie od lekarza, że jest w skrajnym wyczerpaniu, chora na serce, że jestem potrzebna rodzinie.

Wkrótce otrzymałam zaświadczenie. Poszłam do naczelnika, dałam mu ten dokument, bardzo prosiłam, żeby pozwolił mi wrócić do rodziców, tam są małe dzieci. Ten przeczytał to zaświadczenie i powiedział sobie, o poroch serca – czyli choroba serca. Zwrócił się do pracownika w biurze powiedział: „puskaj jejo” – tzn. zwolnić ją. Naczelnik był dobry, ludzki. Spojrzał na mnie, pewnie pomyślał, co taka dziewczyna może zwojować na budowie linii kolejowej. Dla mnie ten dzień, był bardzo szczęśliwy. Nadspodziewanie łatwo i szybko mnie to przyszło. Zaraz pobiegłam na bazę samochodowa i pytałam, szukałam samochodu, który jechałby w moim kierunku. Tu też usmiechnęło się do mnie szczęście. Samochody te były ciężarowe, przewoziły towary. Trałam na to, czego szukałam. Kierowcą była kobieta, tym rażniej było mnie. Nie zajechałam pod dom zamieszkania, ale z miejsca końca jazdy samochodem pokonałam pieszo.

Skąd wiedziałam o takich samochodach, gdzie ich szukać nie wiem. Byłam bardzo ucieszona, że znalazłam się w domu. Dużo km przeszłam. Ogromnie byłam zmęczona, ale szczęśliwa, że wróciłam do domu.

Po powrocie w kolchozie tym, nie mogłam spokojnie pracować. Miałam lęk, żeby mnie, znowu gdzieś nie wysłali. U tych, radzieckich głowach, było tak i jest oczywiście, że nie ważne jaki pożytek będzie z takiego, czy innego pomysłu. Ważne żeby wykonać zarządzenie, czy też rozkaz. W moim przypadku, przykład: prezydent – wójt – otrzymał rozkaz wysłać człowieka do pracy na budowę linii kolejowej, więc pierwsza z brzegu, niech to będzie słaba dziewczyna. Wysłała – zarządzenie wykonane.

Nie myślę, że na ogólnym piśmie, było wyszczególnione moje nazwisko, że tym pracownikiem ma być Weonika Sowa. Tylko nie wiem dlaczego mnie akurat uszczęśliwiono – tym oderwaniem od rodziny. No właśnie. Ja im tam zbudowałam tych linii kolejowych. Gdy wróciłam do wsi Panii, postanowiłam gdzieś indziej zamieszkać i pracować. Siostra Bronia mieszkała i pracowała w mieście Kudymkarze w przedszkolu. Do Kudymkaru było bardzo daleko, lecz niewiadomo ile km – można było zorientować się po wędrownicy pieszej drogi – według godzin. Pieszo zajęło cały dzień. Nie pamiętam, czy poszłam pieszo, czy też konna furmanką z kolchoźnikami. Oni jeździli w różnych potrzebach dla kolchozu – najczęściej wszędzie daleko czy blisko – chodziło się pieszo.

Wybrałam się do Broni w sprawie jakiegoś zatrudnienia w Kudymkarze. Znalazła się dla mnie praca, w drugim przedszkolu. Przedszkole nr 2.

Nim przystąpiłam do pracy, zastąpiłam Bronię w jej przedszkolu. Chciała odwiedzić rodzinę w kolchozie Pina. Bronia miała dyżur nocny przy dzieciach, które były zostawiane na cały tydzień. Do domu przez rodziców były zabierane w niedzielę. No i właśnie, na tym dyżurze, w moim zastępstwie stało się coś bardzo strasznego – nie zauważyłam, że dziecko wyszło z przedszkola na mróz. Nie pamiętam w jakimś stopniu było przeziębione czy też odmrożone. Bronia nie zatrzymała się długo w domu, u rodziny. Wróciła, była przerażona, co się wydarzyło. Natychmiast poszła do rodziców dziecka. Myślę, że rodzice

dziecka byli dobrzy i rozsądni. Wszystko niespodziewanie ucichło. Za takie nie dopilnowanie swojego stanowiska pracy, Bronia mogła dostać 10 lat więzienia. Dziś, gdy tak wszystko wspominam, wiem, że było dużo pomocy Bożej w naszej niedoli. Przecież mogłam iść do więzienia, za otręby, których nie ukradłam, abylam wmieszana do tej kradzieży – jak już wspominałam. Bronia, za dziecko, niedopilnowane w przedszkolu, a jednak stało się tak, jak gdyby się nic nie stało. Dzięki pomocy Bożej i Matce Bożej Nieustającej Pomocy wszystko szczęśliwie się zakończyło.

Ja, rozpoczęłam pracę w przedszkolu nr 2, w którym było dwie grupy dzieci: starsze i młodsze. Moim zadaniem było sprzątanie u dzieci starszych, noszenie wody ze studni – wyciąganej na korbę – do przedszkola, a studnia ta była dość daleko, no i dodatkowo, że chodziło się do tej studni po wodę, należało od przedszkola do studni obmieniać chodnik ze śniegu. Codziennie wcześniej rano zrywałam się ze snu, ażeby nim ludzie zaczną chodzić – oczyścić chodnik. Chodziłam z wiadrem dość daleko do apteki, po jakąś wodę witaminowaną dla dzieci. Moje zamieszkanie było w przedszkolu. Spałam na ławce, przy ścianie i coś tam rzuciłam na tę ławkę, a przykryciem był mój płaszcz. Każdego dnia była gazeta w przedszkolu, ja ją pilnie czytałam. Interesowało mnie, co na wojnie, gdzie front... Zapamiętałam to, że bardzo długo bili się pod Tarnopolem, no i ciągle wojna i wojna. No cóż, tak dzień po dniu pracowaliśmy, dźwigaliśmy ciężar skrajnego wyczerpania w fłodzie i chorobach, w oczekiwaniu lepszego jutra. Brat Andrzej żegna nas, idzie do wojska.

Na wiosnę w 1944 r. przesiedlono nas Polaków, do saratowskiej obłasci. Podróż była długa i uciążliwa, z wieloma przesiadkami z wyczekiwaniem na następny środek lokomocji. Płynęliśmy rzekami: Kamą, Wołgą.

Po przyjeździe do Saratowa, rozmieścili nas po różnych rejonach – sowchozach. Zamieszkaliśmy w rejonie Marks w Mieczetyńskim sowchozie na 18 oddziale – kołchoz od sowchozu różni się tym, że w kołchozie dają przydziałmaki, a w sowchozie chleb na kartki. Tak tu, jak i tam praca na roli. Tu zamieszkaliśmy w domku – lepiance, w którym było trzy izby. Dwie zajmowałyśmy my, jako ta większa rodzina, a jedną izbę zajmowały dwie kobiety. Jedna z dwojgiem dzieci, a druga z jednym małym synkiem, który niedługo jej zmarł. Pochowała go w stepie.

Zastaliśmy tu mieszkańców – kozachów, no i ewakuowanych z pod frontu wojennego: Leningradu i Moskwy. Domki małe lepianki, nie wiele ich było, nie więcej jak 6, a miejscowość od miejscowości daleka. Step, nie kończący się step, a w nim wilki. Wilki te, nie napadały na ludzi, żerowały na zwierzętach, które zawsze i wszędzie trzeba było je chronić – tak w dzień, jak i w nocy. Zdarzało się, że i na człowieka napadały. Mówili, że lwica, jak ma małe i jest głodna, wtedy jest niebezpieczna. Tu w Saratowskim okręgu zatrudnienie było bardzo małe, dlatego i pola nie wiele uprawiano, aż szkoda, gdyż ziemia żyzna, bardzo urodzajna, nie wymagała żadnego nawozu, ani sztucznego, ani naturalnego. Uprawiano pszenicę, melony, kawony – wegetacja tego owocu jest bardzo krótka. Wspomnę o pszenicy: kłosa były piękne, grube, długie, ziarno pełne, aż szkoda, że tak dobra ziemia leży odłogiem. Rośnie burzan i żyją w nim wilki. Drzew żadnych. Nie przypominam sobie, żebym spotkała jakieś drzewo – nie tylko owocowe. Żadne. Burzan, na nieuprawianych polach stepowych służył nam w zimie jako opał. Tu nie było drzewa, jak tam na Uralu, czy też w Komi, Permiackim okręgu. Nie było żadnego opału, a przecież zima była ostra i trzeba było czymś ogrzać mieszkanie. W zimie chodziliśmy zbierać, te grube patyki

i wiązkami przynosiliśmy do domu, a tego trzeba było bardzo dużo, bo paliły się jak słoma, a mróz doskwierał, nie tylko w niedogrzanym domu, lecz i w zbieraniu w zaśnieżonych polach, w mroźnych miesiącach. No cóż, tu też każde z nas musiało stanąć do pracy, gdzie, kogo wysłano. Wszyscy pracowaliśmy w sowchozie na roli. Bronia – siostra moja – nie zatrzymywała się, tu przy pracy w rolnictwie. Ubolewała nad tymi najmłodszymi dziećmi. Wystarała się o przedszkole, dla polskich dzieci, w którym była na stanowisku kierowniczym, a właściwie wszystkim: księgową i wychowawcą. Wychowywała nie po stalinowsku, aż do czasu wyjazdu do Polski. Każdemu z nas było bardzo ciężko. Wycieńczeni, wygłodzeni, a nawet każde z nas przeszło cięższą lub lżejszą chorobę – lecz każdego dnia żyliśmy nadzieją, o lepsze jutro, o powrocie do ojczyzny – Polski.

Rodzicom naszym, znacząco ubywało zdrowia – nierz z niepokojem myślałem sobie – żeby nam nie umarli w ZSRR, a przecież i nam mogłoby się zdarzyć, takie wielkie nieszczęście, jak w niektórych rodzinach i to w wielu rodzinach – rodzice umarli, a dzieci i to małe zostały osierocone.

Tata nasz tu w saratowskim województwie lżej pracował. Zajmował się strużowaniem. Chronił bydło przed wilkami lub pilnował magazyny ze zbożem. No cóż, taty zdrowie było słabe. Już w pierwszym roku przybycia do Saratowa – zachorował. Przebywał w szpitalu w mieście Marks. Nie wiem ile km było od naszego domu na 18 oddziale, do m. Marks. Odwiedziłam tatę w szpitalu. Wcześniej rano jechałam z kołchoźnicą furmanką – jeśli jechała, a powrót pieszo. To pielgrzymowanie zajmowało mnie cały dzień. Tacie nosiłam kozie mleko – to podtrzymywało zdrowie. Niekiedy wozilem tatę do jakiegoś – trudno powiedzieć lekarza – chyba felczera, aby tacie pomóc. Powoziłam końmi lub wołem. Końmi jeśli jechałam, to miałam wielkie utrapienie, bo jak chciał to szedł. Często było tak, że stanął, uparł się i nie ruszył. Wół natomiast idzie pomału i nie upiera się, czy jest zaprzęgnięty do wozu, czy też sań,

Kiedy przybyliśmy do saratowskiej obłasci, mieliśmy 4 lata za sobą zniewolenia stalinowskiego. Tu już wszyscy pracowaliśmy i ci najmłodsi z rodzeństwa. Brat Karol – najmłodszy, który w 1940r. w lutym, kiedy nas wysiedlono z domu i zesłano na Sybir – miał niespełna 1.5 roku. Tu już jako ponad 5 letnie dziecko chronił bydło przed wilkami. A, więc dzieci musiały stać się szybko dorosłymi. Zabrani im dzieciństwo.

Brat Piotruś 6-letni na Syberii był operowany na przepuklinę. Po powrocie do Polski, powtórnie był operowany. Nic dziwnego, więc skoro dziecko miało takie dziciństwo. Wojna ciągle trwała. Przydział chleba na kartki zmniejszano, a nam mówiono „nada na front”. Tu w saratowskim było trochę lżej. Jak już wspomniałam wyżej, uprawiano pszenicę, melony, kawony /podony do arbuza/. Lecz melony i kawony w porównaniu do arbuza były smaczniejsze. Mają zapach aromatyczny, a tam gdzie dojrzewały z daleka czuło się ich zapach.

Pszenicę koszone kombajnem. Po skoszeniu było bardzo dużo kłosów na ściernisku. To chodziliśmy i zbieraliśmy te kłosy, do później jesieni. Gotowaliśmy pszenicę i łatwiej było przeżyć głodówkę. Nasz tata, bardzo zabiegał, aby przeżyć i nie szczędził swojego zdrowia i sił. Mama też była wycieńczona i osłabiona.

Opatrzność Boża nad nami czuwała. Matka Boża Nieustającej Pomocy – ciągle była z nami.

Wspominalismy brata Józefa, który poszedł do armii gen. Andersa i brata Andrzeja, który dołączył do dywizji Kościuszkowskiej /do Berlinga/ -

myśleliśmy, czy żyją. Przecie trwała walka. Od Józefa, jakieś wieście przychodziły, ale nie wiele. Natomiast od Andrzeja niemal co drugi dzień była wiadomość, że zdrow i nadal jest na pierwszej linii frontu, wielkiej bitwy. Napisał w liście: „walczę w wielkiej bitwie, może zginę, lecz nie żał mi życia, walczę o ojczyznę Polskę, dla was”. Pisał w liście, jak to pewnego dnia, w tym strasznym ogniu, napotkał drzewo, na którym wisiał obra Matki Bożej. Zatrzymał się przy nim, przy tym obrazie Matki Bożej, tu zrozumiał, że gdyby nie ten przypadek – zginąłby w tej straszywej bitwie danego dnia.

Niezapmniany mój dzień, kiedy ostatni raz spotkałam się i pożegnałam brata Andrzeja. Ja pracowałam w przedszkolu w Kudymkarze i tu w przedszkolu mieszkałam, a było to na przełomie 1943 – 1944r. Nie pamiętam, skąd wiedziałam, że w danym dniu z Kudymkaru – brat Andrzej wyrusza do armii. Rano pośpiesznie wybiegłam do miejsca, skąd ci zmobilizowani żołnierze mieli wyjechać i tu miałam szczęście – zastałam ich już na załadowanym pod plandeką samochodzie. Andrzej był tu z brzegu, czyli w szeregu tych ostatnich – wsiadających do samochodu. Szybko zbliżyłam się, podałam Andrzejowi swój przydział chleba, który zabrałam z sobą, aby mu dać na drogę i takie było moje ostatnie pożegnanie – on mnie żegnał z samochodu, a ja przy samochodzie i odjechał. Byłam szczęśliwa, że zdążyłam podać kromkę chleba i przez ten moment, pożegnać się z nim, lecz niemyślałam, że już na zawsze. Na przedmieściu Berlina zginął w 1945 r.

Powracam do wspomnień listów z frontu Andrzeja, że żyje zdrow i ciągle na pierwszej linii frontu. Nagle na koniec wojny w 1945r. od miesiąca kwietnia przestaliśmy otrzymywać polowej poczty od Andrzeja. Takie niewiadome było nam do czasu powrotu do Polski /6.06.1946r./ do Wrocławia. Tu w Polsce, dowiedzieliśmy się, że brat Andrzej został ciężko ranny w głowę 15.04.1945r. na przedmieściu Berlina i w tym dniu zmarł. Wiadomość tym bardziej była dla nas bolesna, że nie przeżył końca wojny. W Berlinie i Wrocławiu była strasza bitwa. Hitler kapitulował, walczył o Berlin i Wrocław. Nie mógł sobie darować. Wiemy, jaki zastaliśmy Wrocław. Jedno pobojuwisko.

Tu w saratowiewskiej obłaści znacząco nas ubyło. Józef i Andrzej na wojnie, brat Stefan 18-letni zmarł na Sybirze. Smuto, ciężko, ale staraliśmy się nie upadać na duchu. My rodzeństwo wspomagaliśmy się, aby przeżyć, z nadzieją, że nadejdą dni na lepsze, że wrócimy do Polski – naszej ojczyzny, ale trapiły nas myśli ... czy doczekamy i kiedy.

Tu w Mieczetyńskim pracowałam z dziewczętami z Moskwy i Leningradu, były z rodzin ewakuowane z ww. miast /z frontu/. Gdy ja tak marzyłam o powrocie do Polski. Mówili mnie „Polszy niet” , czyli nie mam z czego się cieszyć, bo Polski nie ma. Ja natomiast miałam swoją nadzieję.

Pracowaliśmy ciężko. Brat Antoś woził w beczce wodę, którą z głębokiej studni wyciągał wiaderem, to była bardzo ciężka praca dla chłopca, a cóż dopiero dla dziecka wygłodzonego, wycięznego. Jednak cielaki musiał napoić. Podobnie konie i woły robocze. Każde z nas pracowało, aby mieć większy przydział chleba. Ja z Heleną Biel, z tej samej kolonii Jarczowiec z Polski wywieziona, a mieszkaliśmy w jednym domu na 18 oddziale w Mieczetyńskim sowchozie, woziliśmy z pól ze stogów słomę. Paszę dla cieląt, wołów. Jeździliśmy wołem. Ze stogu jedna podawała na wóz, druga układała. Latem było łatwiej, bo droga była równa. Natomiast w zimie droga była wyboista, mróz i śnieżyce dawały się we znaki.

Ja byłam specjalistką do układania na saniach, a Bielowa mnie podawała. Nigdy – mimo wyboistych dróg nie przydażyło nam się, aby słoma lub siano spadło z sań. Dobrze ułożone na saniach i żerdzią przymocowane i przywiązane do sań nie spadało mimo wybojów, a wół posłuszny zawsze ciągnął do celu. Takie wspomnienia też dobre, a i na wielbłądzie też jechałam. Deszczu w tych kazachstańskich stepach latem prawie nie ma. Natomiast zima jest śnieżna i mroźna. Zboże po skoszeniu kombajnem sypano pod gołym niebem, na klepiskach. Codziennie te wielkie kopy pszenicy szuflami przeżucaliśmy z miejsca na miejsce. W ten sposób było wietrzone i dosuszane. W zimie chodziliśmy do pracy na „śnieg sodzieranie” – zatrzymanie śniegu. Szliśmy na uprawne pola i co kawałek robiliśmy „kupki” ze śniegu.

Tata, bardzo podupadał na zdrowiu. Jak już wspominałam, w stepach były wilki. Napadały na zwierzęta domowe, trzeba było je chronić. Tata strużował przy zagrodach, oborach, czy też stajniach. W zimie i latem wykonywał tę pracę przy magazynach z pszenicą. Ja nieraz zastępowałam tatę, gdyż zdrowie było słabe. Strużowałam od wieczora do północy, a później była zmiana. Przychodził drugi stróż. Znałam się na gwiazdach na niebie. Wychodziłam z budynku, patrzyłam gdzie jest „wóz”, gdzie jest „kwoka z kurczakami” i w ten sposób orientowałam się, kiedy przyjdzie zmiana. Przemierzałam pomieszczenie, w którym byłam, a nie było ogrzewane. Praca ta była blisko domu /10-15 min drogi/. Niebo było przeważnie pogodne, gwiazdziste. Było mroźno.

W 1945r. usłyszeliśmy pocieszającą wiadomość, że Polacy mają możliwość wracać do Polski. Nie zwlekając szybko składaliśmy papiery. ZSRR utrudniał nam, a żeby jak najmniej z nas opuściło ten kraj. Był problem ze mną. Dlaczego powiem...

Siostra Bronia stworzyła jakiś dokument dla mnie, stwierdzający pracę w Polsce i tym sposobem nie zatrzymano mnie tutaj. Była komsja Polsko-Radziecka, mieszana do spraw ewakuacji. Dostarczaniem dokumentów zajmowała się Bronia. Trochę i ja pomagałam. Znosiłam papiery, gdzie należało złożyć. Bronia nadal pracowała na stanowisku kierowniczym przedszkola. Nie było problemu, aby mieć z nią kontakt. Niedaleko od nas mieszkała i pracowała. Pamiętam, jak to na przełomie 1945/1946 szłam kilka km, było dość daleko, do sąsiedniej miejscowości z dokumentami, do Polaka, który zajmował się przyjmowaniem dokumentów, a ponieważ była to zima, podróż była uciążliwa. Droga zaśnieżona. Zabrakło mnie dnia. Noc mnie zastała, nim doszłam. W drodze dobrze wiedziałam, gdzie znajduje się stado wilków. Ponieważ nocą świeciły ich oczy i oczywiście słyszałam ich wycie. Było mi nie opacznie. Trochę bałam się. Szłam bardzo szybko. W prawdzie, że te wilki były zainteresowane zwierzętami, ale здаło się, że jak były bardzo głodne – to i człowiek od nich zginął. Ucieszyłam się kiedy zobaczyłam światłą w oknach tej miejscowości, do której szłam. Byłam ucieszona, że szczęśliwie doszłam. Musiałam być bardzo zmęczona, gdyż tu wątek mi się urwał. Nie pamiętam co dalej było tej nocy. Nie wracałam do domu tej nocy, gdyż nie było to możliwe.

Bronia nie tylko nami zajmowała się, lecz wielu rodzinom pomagała w dostarczaniu dokumentów na wyjazd do Polski. Rodzinom porzucanym po ZSRR, jeśli nie miał kto pomóc, po dzień dzisiejszy tam pozostały.

W marcu 1946 r. wyruszyliśmy do Polski. Rosjanki żegnały nas, jak gdyby z utęsknieniem za nami, że ich opuszczamy. Było to coś w odczuciu naszym, że

Iżej im było, przy tym nie dostatku rąk do pracy, u boku z nami, z Polakami. Mówiły nam: „wy jedziecie do Polski, dobrze wam tam będzie. My tu zostajemy ciężko, ciężko nam będzie”. Mężczyzn prawie nie było. No bo była wojna i chociaż już się skończyła, nie było wiadomo, czy mężowie, synowie wóćą i ilu ich wróci z wojny. Było to po prostu smutne rozstanie.

Wyruszyliśmy w drogę w marcu, w okresie wielkich rozstópów. Rzekami po lodzie płynęła już woda. Śnieg jeszcze leżał. Wyjechalismy ze swoim ubogim dobytkiem na saniach. Po drodze przeprawialismy się przez rzeki, po lodzie, po którym płynęła woda. A żeby odciążyć sanie z bagażem szliśmy po lodzie, skąpani w zimnej wodzie. Rodziny nawzajem pomagały sobie, bo i kogoś trzeba było na plecach przenieść. Brat Antoś przenosił dziecko Cieciry – tak się nazywała rodzina. Takich ciężkich przepraw było wiele i cały ten powrót był długi i męczący. Było wiele przesiadek. Wyczekiwanie na następny transport, aż do załadowania nas do wagonów, takich samych, w jakich nas wieźli w 1940 r. na Sybir, z tym, że nie były zaryglowane, nie było straży. Mogliśmy wychodzić na postojach. Skład pociągu był bardzo długi. Ta uciążliwa podróż trwała od marca do 6.czerwca w 1946r. Tu we Wrocławiu na Psim Polu wyładowano nas z pociągu. Powrót do Polski, na tyle był lżejszy, bo nie marzliśmy w wagonach i mogliśmy otwierać drzwi, wietrzyć wagon.

W tak wielkim utęsknieniu za Ojczyzną i nie tylko... marzeniem było mieć możliwość iść do kościoła, na msze św. Mówiliśmy sobie, jak tylko zajedziemy do Polski, to zaraz najpierw rozejrzemy się, gdzie jest kościół, żeby móc uklęknąć przed tabernakulum, pomodlić się i podziękować Panu Bogu i matce Bożej za liczne łaski i szczęśliwy powrót do Polski. Ku naszej radości, kościół był na Psim Polu, blisko naszego tymczasowego miejsca zakwaterowania - PUR-u.

Przez 6,5 roku nie widzieliśmy kościoła, ani księdza – bo tak było w Rosji komunistycznej. Teraz się trochę zmieniło, lecz brak im kościołów i księży.

Wydawałoby się, że wystarczy najeść się do sytości chleba i człowiek będzie zadowolony, bo nie czuje głodu.

Głód, tęsknota, może być w człowieku duchowa. Ciężko żyć tak, bez Eucharystii, bez posługi kapłańskiej.

Warto wspomnieć: naród rosyjski, mimo, że im zniszczono cerkwie, seminaria duchowne – w minionym czasie – nadal nie zatracił Boga. W domach były święte obrazy – Ikona Matki Bożej, a przed posiłkiem żegnali się. To też można podziwiać ich za trwałość przy Bogu.

Już zakończę swoje wspomnienia. Do Wrocławia z ZSRR przybyliśmy transportem, tu każdy musiał znaleźć swoje miejsce zamieszkania i założyć nowe życie, dorabianie się. Czasy te, powojenne były ciężkie, każdego z nas życie nie pieściło.

Na ostatniej stronie nr 30, Pani Weronika podała:

1940r, 10.luty wywózka na Sybir. Powrót do Polski 1946r.06.06.

Miejscowości, w których przebywalismy – ZSRR *IPani Wronika pisze Rosja/:*

Ural. Mołotowskaja obłast'. Barak w lesie k/Siurowa, rejon Jurło, uczastok Kirianow.

1942r, Mołotowskaja obłast', rejon Kudymkar, gmina /selsowiet/ Wierchjuśwa, kołchoz Pania.

Okręg Komi Permiacki.

1944r. Saratowskaja obłast', Marksowski rejon, 18-ty Mieczetyński oddział – sowchoz.

Wspomnieniate, w duzym skrócie – spisałam dla młodszego pokolenia – dla potomnych.

2006r. Weronika Lusnia z domu Sowa. Wrocław.

Materiały p. Weroniki Luśni otrzymałem od córki Pani Weroniki – Zofii Mankiewicz i jej męża – Kazimierza, w dniu 17.09.2023 w DNIU ŚWIĘTA SYBIRAKÓW przy POMNIKU ZESŁAŃCOM SYBIRU we WROCŁAWIU.



**Z p. Zofią przy Pomniku Zesłańcom Sybiru. Opis na 30 str.
/Kopia jest w Biurze Sybiraków – w gablocie Koła Fabryczna/**

Materiały oddają treść WSPOMNIENÍ p. Weroniki z małymi poprawkami, Przykładowo zamist Rosja, wstawialem ZSRR. Długie zdania p. Weroniki /które sam popełniam/ - skracalem. Stawialem kropki, zamiast stawianych przez p. Weronikę przecinków lub ich - nie było. Sens pracy jest identyczny. Słowa, które używa p. Weronika zostały takie same, których używała p. Weronika – bo one oddają ducha tamtych czasów, pozwalają nas zrozumiec z tamtych czasów, szczególnie Sybiraków, przez Sybiraków!

Jeżeli popełniłem zmiany liter w wyrazach, to tylko przez ich zamazanie lub brak w słowie litery.

Za zgodność przepisania i możliwość rozpowszechnienia poprzez umieszczenie na naszej stronie internetowej – dziękuję ww. Rodzinie p. Weroniki Luśni.



Rezydencja na Dyrekcyjnej. 20.10.2023r. Antoni, p. Weronika i Zofia



Pani Weronika Luśnia ze swoją opiekunką Weroniką



Zdjęcie zgodnie z intencją Pani Weroniki przekazanej nam w swoich „Wspomnieniach”- str. 14, jak i dzisiaj w swoich realiach życiowych!

**Opracował:
Na podstawie Wspomnień
Pani Weroniki Luśni
Antoni Tunkiewicz
Koło Fabryczna
Związku Sybiraków
We Wrocławiu
20.10.2023r.**